

GUY DE MAUPASSANT

---

# Wieczór trzech króli

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



GUY DE MAUPASSANT

## Wieczór Trzech Króli

TLUM. ANONIMOWY

Przypominam sobie dobrze, rzekł kapitan hrabia de Garens, ową kolację w dzień Trzech Króli, w czasie wojny!

Byłem wtedy marszałkiem huzarów i od dwóch tygodni włościłem się w celach wywiadowczych przed frontem dywizji niemieckiej. Dzień przedtem, posiekaliśmy kilka ułanów i straciliśmy trzech z naszych ludzi, między nimi tego biednego Raudeville. Przypominacie go sobie zapewne, Józef de Raudeville.

Otóż tego dnia, kapitan mój wydał mi rozkaz zabrania dziesięciu kawalerzystów, zajęcia i pilnowania całą noc wioski de Porterin, gdzie bito się pięć razy w ciągu trzech tygodni. W tem gnieździe os, nie było wówczas ani dwudziestu domów całych, ani dwunastu mieszkańców przy życiu.

Wziąłem z sobą dziesięciu kawalerzystów i koło czwartej udałem się w drogę. O piątej rano, wśród głębokiej nocy, dostaliśmy się do pierwszych domów wioski. Zatrzymałem oddział i poleciłem Marchas, znacie dobrze Piotra de Marchas, który ożenił się następnie z małą Martel Aurelin, córką markiza de Martel-Aurelin, ażeby udał się sam do wioski i zebrał wiadomości.

Powybierałem tylko wolontariuszy, wszystkich z dobrej rodziny. Niema nic nieprzyjemniejszego jak stykać się w służbie z prostakami. Ten Marchas był chytry jak mało kto, przebiegły jak lis, a giętki jak wąż. Potrafił zwietrzyć Prusaków, jak pies zająca, wynaleść żywność tam, gdziebyśmy z głodu pomarli bez niego, wydobywał wiadomości ze wszystkiego, wiadomości zawsze pewne, z nieprawdopodobną zręcznością.

Po dziesięciu minutach wrócił.

— Wszystko dobrze — rzekł — od trzech dni nie przeszedł tędy ani jeden prusak. Nieszczęsną jest ta wioska. Rozmawiałem z zakonnicą, która pielęgnuje czterech, czy pięciu chorych w opuszczonym klasztorze.

Wydałem rozkaz do posunięcia się naprzód i wjechaliśmy w główną ulicę. Na prawo i lewo widać było mury bez dachów zaledwie widoczne wśród ciemnej nocy. To tu, to tam, błyszczało światło za szybami; widocznie została jakaś rodzina, ażeby pilnować swego domu, nawpół rozburzonego, rodzina dzielnych ludzi, albo biedaków. Deszcz zaczął padać, deszcz drobny, mroźny, od którego marzliśmy jeszcze przed zmoknięciem. Konie potykały się o kamienie, o belki, o sprzęty. Marchas prowadził nas, pieszo idąc przed nami i prowadząc swego konia za uzdę.

— Gdzież ty nas prowadzisz? — zapytałem go.

Odrzekł:

— Znalazłem dobre schronienie.

Wkrótce zatrzymał się przed małym mieszczkańskim domkiem, stojącym przy ulicy, z ogrodem od tyłu.

Wielkim kamieniem, podniesionym z ulicy rozbił zamek, przeszedł podwórze, wywalił drzwi kopnięciem, zapalił świeczkę, której kawałek miał zawsze przy sobie i wprowadził nas do wygodnego, z komfortem i bogato urządzonego mieszkania, z taką podziwienią godną swobodą, jak gdyby długi czas przeżył w tym domu, który widział poraz pierwszy.

Dwóch ludzi przy koniach zostało przed domem.

Marchas zawołał do grubego Ponderel, który szedł za nim:

— Stajnie muszą być na lewo — spostrzegłem to wchodząc — idź i ulokuj tam konie, które nie będą nam potrzebne.

Potem zwracając się do mnie:

— Wydaj rozkazy, do pioruna!

Zadziwił mnie zawsze ten wesoły chłopak. Śmiejąc się odrzekłem:

— Pójdę rozstawić placówki na kraju wsi. Zastanę cię tu jak wrócę.

— Ilu weźmiesz ludzi? — zapytał.

— Pięciu. Drudzy zmieniają ich o godzinie dziesiątej wieczór.

— Dobrze. Zostaw mi czterech dla zgromadzenia żywności, do kuchni i przygotowania stołu. Ja będę się starał odnaleźć schowek z winem.

Udałem się, ażeby zbadać puste ulice prowadzące na koniec wsi, ku równinie, by tam ustawić placówki.

Po pół godzinie byłem z powrotem. Zastąpiłem Marchas rozciągniętego na wielkim fotelu Voltaire, z którego zdjął pokrowiec, jak mówił, z zamięłowania do zbytku. Grzał sobie nogi przy ogniu, paląc doskonale cygaro, którego zapach rozchodził się po pokoju. Siedział sam, z łokciami opartymi na poręczach krzesła, z głową w tył przechyloną, z miną zachwyconą, oczy błyszczące, policzki zaróżowione. Ze sąsiedniego pokoju dochodził brzęk talerzy.

Marchas, uśmiechając się błogo, odezwał się:

— Idzie wcale dobrze; znalazłem Bordeaux w kurniku, szampan pod schodami, wódkę — pięćdziesiąt butelek, prawdziwej wódki — w sadzie pod gruszką, która przy świetle latarni, wydała mi się, że nie stoi prosto. Jako coś stałego mamy dwie kury, gęś, kaczkę, trzy gołębie i jednego kosa, złapanego w klatce. Jak widzisz, sam drób! Wszystko to właśnie się piecze. Przecież kraj ten jest wspaniałym!

Usiadłem naprzeciwko niego; płomień z kominka palił mnie w nos i w policzki.

— Skąd wy dobyłeś to drzewo na ogień? — zapytałem.

Wspaniałe drzewo! — zawołał — to powóz porąbaliśmy. Ten silny płomień pochodzi z pokostu. Doskonała mięszanina lakieru. Jaki to zamożny dom!

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, tak śmieszne wydawało mi się to bydlę. Zaczął znowu:

— I to dziś właśnie Trzech Króli! Kazałem włożyć do gęsi bobu; niema jednak królowej! Głupio!

Powtórzyłem zanim jak echo:

— Głupio! Ale cóż mogę na to poradzić?

— Trzeba żebyś coś znalazł, parbleu!

— Co mam znaleźć?

— Kobiety.

— Kobiety? Czyś oszalał?

— Ja znalazłem wódkę pod gruszką, szampana pod schodami, chociaż mnie nikt nie prowadził. Spódniczka zaś jest pewnym dla ciebie drogowskazem. Poszukaj, mój stary.

Mówił to tonem tak poważnym, seryo i przekonywającym, że nie wiedziałem, czy żartuje.

Odrzekłem:

— No, no, Marchas, tylko nie błaguj!

— Ja nigdy w służbie nie błaguję.

— Ale skądże do dyabła chcesz, żebyś wynalazł kobiety?

— Skąd chcesz. Musiały zostać dwie, albo trzy we wsi. Wytrop i przyprowadź.

Wstałem z krzesła. Było mi za gorąco przed tym ogniem. Marchas zapytał:

— Podać ci myśl jedną?

— Dobrze.

— Dowiedz się o proboszcza.

— O proboszcza? Po co?

— Zaproś go na kolację i poproś, żeby przyprowadził kobietę.

— Proboszcz! Kobiety! Ach! Ach!

Marchas, z nadzwyczajną jednak powagą, mówił dalej:

— Ja się z tego nie śmieję. Poszukaj proboszcza i przedstaw mu nasze położenie. Zapewne nudzi się wściekle, to przyjdzie, powiedz mu jednak, że musimy mieć przynajmniej jedną kobietę, kobietę *comme il faut*, rozumie się, jesteśmy bowiem wszyscy

chłopcy zacnego rodu. Powinien znać na palcach swoje parafianki. Jeśli jest między nami jaka możliwa dla nas, a dobrze weźmiesz się do tej sprawy, z pewnością ci nie odmówi.

— O czym ty właściwie myślisz Marchas?

— Mój drogi Garens, ty potrafisz dobrze się z tym załatwić. Będzie to nawet bardzo zabawne. Umiemy żyć, do kroćset! Będzie to oznaką wielkiej dystynkcji, nadzwyczajnego szyku. Wymień nasze nazwiska proboszczowi, pobudź go do śmiechu, rozczul, oblaguj go, byłeś go zdecydował!

— Nie, to niemożliwe.

Przybliżył swój fotel, a że znał ten urwisz moje słabe strony, zaczął na nowo:

— Pomyśl sam co to będzie za doskonały kawał, co za zabawna rzecz do opowiadania.

W całej armii będą mówili o tem. Zrobi ci to niebywałą reputację.

Wahałem się, kusiło mię jednak do tej awantury. On dalej nalegał:

— No, a zatem mój drogi Garens? Ty jesteś dowódcą oddziału, tobie jednemu przystoi udać się do przelozonego kościoła tej okolicy. Proszę cię, idź. Obiecuję ci, że po wojnie, całą tę rzecz opiszę wierszem w *Revue des Deux Mondes*. Należy się to od ciebie twoim ludziom. Od miesiąca maszerują z tobą.

Podniosłem się, pytając:

— Gdzie jest plebania?

— Pójdiesz drugą ulicą na lewo, na końcu znajdziesz ścieżkę, na końcu tej ścieżki jest kościół. Obok znajduje się probostwo.

Gdy wychodziłem, on jeszcze zawołał za mną:

— Powiedz mu, jakie będzie menu, żeby mu narobić apetytu

Wkrótce odnalazłem bez trudu mały domek księdza, w pobliżu wielkiego, brzydkiego, z cegieł postawionego kościoła. U drzwi nie było ani dzwonka ani młotka, waliłem w nie więc pięściami. Jakiś silny głos zapytał ze środka:

— Kto tam?

— Marszałek od huzarów — odrzekłem.

Posłyszałem obrót klucza w zamku i znalazłem się wobec wielkiego, o wypukłym brzuchu księdza, mającego ramiona szerokie jak siłacz, ogromne ręce wychodziły z zakasanych rękawów, o różowej cerze twarzy, — wszystko to zdradzało dzielnego człowieka.

Powitałem go ukłonem wojskowym.

— Dzień dobry księżu proboszczu.

On obawiał się zapewne napaści, zasadzki ze strony włóczęgów, lecz na mój widok uśmiechnął się i odpowiedział:

— Dzień dobry mój przyjacielu, raczy pan wejść. Wszedłem za nim do małego pokoju w którym palił się nędzny ogień, tak bardzo odróżniający się od ogniska roznieconego przez Marchas.

Wskazując mi krzesło zapytał:

— Czem mogę panu służyć?

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że mu się najpierw przedstawię.

I podałem mu moją kartę.

Wziął ją do ręki i półgłosem czytał:

— Hrabia de Garens.

— Jest nas jedenastu, księżu proboszczu, pięciu na pikiecie, a sześciu zakwaterowanych w jakimś nieznanem domostwie. Ci sześciu nazywają się, Garens, tu obecny, Piotr de Marchas, Ludwik de Poudrel, baron d'Etreillis, Karol Massouliny, syn malarza i Józef Herbou, młody muzyk. Przychodzę w ich i w mojem imieniu prosić księdza proboszcza, by zechciał zrobić nam ten zaszczyt wieczerzania dziś z nami. Wszak to jest kolacja Trzech Króli, księżu proboszczu, i chcielibyśmy wesoło ją spędzić.

Ksiądz uśmiechnął się, potem odrzekł:

— Zdaje mi się, że to nie jest wcale sposobność do zabawy.

Odrzekłem:

— Bijemy się codziennie, księżu proboszczu. W ciągu miesiąca, czternastu z naszych kolegów zginęło, trzech jeszcze wczoraj padło. To jest wojna. Narażamy nasze życie bezustannie, czyż nie mamy prawa zabawić się? Jesteśmy francuzami, lubimy się śmiać, śmiejemy się wszędzie. Ojcowie nasi śmiali się na szafocie! Dzisiejszego wieczoru chcielibyśmy ożywić się trochę, jako ludzie z towarzystwa, a nie jak starzy żołnierze. Czyż nie

mamy racyi?

Odrzekł z żywością:

— Macie słuszość mój przyjacielu i z przyjemnością przyjmuję wasze zaproszenie.

Zawołał:

— Hermancyo!

Zjawiała się stara, pomarszczona i pokręcona wieśniaczka i zapytała:

— Hę? A co tam?

— Nie będę dziś w domu na kolacy.

— A gdzie to jegomościu będziecie jedli?

— Z panami huzarami.

Miałem ochotę powiedzieć, żeby przyprowadził tę wiedźmę, już dlatego samego, żeby zobaczyć minę Marchas. Nie śmiałem jednak.

Natomiast zapytałem:

— Czy pomiędzy parafianami pozostałymi w wiosce niema nikogo z mężczyzn lub z kobiet kogo mógłbym także zaprosić?

Wahał się chwilę, namyślał i oświadczył:

— Nie, nikogo!

Nalegałem:

— Nikogo! Ależ poszukajno, księżę proboszczu! Byłoby to bardzo elegancko, gdybyśmy mieli damy. Już ja się rozumiem na przyjęciach! Czy ja wiem kogo? Może piekarza z żoną, może sklepikarza, może... może... zegarmistrza... może... podróżnika... może... aptekarza z panią aptekarzową... Mamy doskonałą ucztę, z winem, bylibyśmy zachwyceni gdybyśmy mogli zostawić po sobie tutaj dobre wspomnienie.

Ksiądz myślał jeszcze chwilę, poczem odrzekł stanowczo:

— Nie, nikogo.

Zacząłem się śmiać:

— A to dalipan księżę proboszczu przykra rzecz żeby nie mieć królowej w dzień Trzech Króli. No, no księżuniu, poszukaj! Cóż to, czy niema wójta żonatego, żonatego asystenta, jakiego radnego żonatego, ostatecznie przedsiębiorcy?

— Nie, wszystkie kobiety wyjechały.

— Ale, cóż znowu; jakto, to niema w całej okolicy ani jednej dzielnej mieszczanki z mężem, której moglibyśmy zrobić tę przyjemność, gdyż byłaby to przyjemność dla nich, i to wielka, w obecnych okolicznościach?

Nagle proboszcz zaczął się śmiać, aż się trząsł cały i zawołał:

— Ach! Ach! Już mam, Jezus Marya, już mam! Ach! Ach! Będziemy się zaśmiewać moje dzieci, a to się ubawimy. I one będą bardzo zadowolone, ach! ach!... Gdzież to stoicie?

Opisałem mu dom naszej kwatery. On zrozumiał:

— Dobrze. To jest posiadłość Bertin-Lavalle. W pół godziny przybędę z czterema damami!! Ach! ach! z czterema damami!!...

Razem ze mną wyszedł, śmiejąc się ciągle i pożegnał się, zapewniając:

— A zatem, za pół godziny, dom Bertin-Lavalle.

Zdziwiony, zaintrygowany bardzo, wracałem.

— Ile nakryć? — Zapytał Marchas, spostrzegając mnie.

— Jedenaście. Nas jest sześciu, potem proboszcz i cztery damy.

Oślupiał. Ja tryumfowałem.

Zapytał:

— Cztery damy! Mówisz: cztery damy?

— Powiedziałem: cztery damy.

— Prawdziwe kobiety?

— Prawdziwe kobiety.

— A! Serdeczne dzięki!

— Przyjmuję je, zasłużyłem na nie.

Zerwał się z fotelu, otworzył drzwi i spostrzegłem piękny, biały obrus, narzucony na długi stół, na którym trzech huzarów w niebieskich fartuszkach, ustawiało talerze i szklanki.

— Będziemy mieli kobiety! — zawołał Marchas. Ci trzej zaczęli tańczyć i głośno wyrażać swoje zadowolenie.

Wszystko było gotowe. Czekaliśmy około godziny. Rozkoszny zapach smarzonego ptactwa wypełniał pokoje.

Stuknięcie w okiennice porwało nas wszystkich równocześnie na nogi. Wielki Ponderel pobiegł otworzyć. Po upływie dobrej minuty, mała siostra zakonna zjawiała się w obramieniu drzwi. Była chuda, pomarszczona, nieśmiała i raz po raz kłaniała się przerażonym na jej widok huzarom. Za nią słychać było stuk lasek uderzających o posadzkę przedśionka i gdy weszła do salonu, spostrzegłem idące za nią, jedna za drugą, trzy stare głowy w białych czepkach, kiwające się w chodzie w różne strony, jedna na prawo druga na lewo. I zjawily się trzy babki z przytułku, kulejące, ciągnące za sobą nogi, okaleczone i pokurczone ze starości, jedyne trzy zdolne jeszcze chodzić pensjonariuszki ze szpitala siostry Saint-Benoit.

Ona zwróciła się do swoich inwalidek z widoczną troską o nie, poczem spostrzegłszy moje galony dowódcy, rzekła:

— Bardzo panu dziękuję, panie oficerze, że pan pomyślał o tych biednych kobietach. One tak mało miały przyjemności w życiu i to co teraz dla nich czynicie, jest wielkim szczęściem i zaszczytem dla nich zarazem.

W cieniu korytarza widziałem proboszcza, który śmiał się z całej duszy. Ja znowu zacząłem się śmiać, patrząc przedewszystkiem na minę Marchas. Następnie wskazując zakonnicy krzesła:

— Raccie usiąść, moja siostro; jesteśmy bardzo dumni i szczęśliwi, żeście przyjęły nasze skromne zaproszenie.

Siostra wzięła trzy krzesła z pod ściany, ustawiła je przed ogniem, przyprowadziła do nich swoje trzy babki, posadziła je na nich, odebrała od nich ich laski i szale i położyła je w rogu pokoju. Następnie wskazując pierwszą, chudą a o ogromnym brzuchu, dotkniętą zapewne wodną puchliną:

— Ta, jestto matka Paumelle, której mąż zabił się spadłszy z dachu, syn zaś jej umarł w Afryce. Ma sześćdziesiąt dwa lat.

Wskazując drugą, ogromną kobietę, której głowa trzęsła się bezustanku:

— Jestto matka Jean-Jean, sześćdziesiątsiedm lat mająca. Nie wyglądałaby wcale na to, gdyby nie to, że poparzoną była w pożarze, i prawą nogę ma w połowie spaloną.

Wskazała nam wreszcie trzecią, pewnego rodzaju idyotkę, z wylupiałymi oczyma, które obracały się na wszystkie strony, duże i głupie:

— To jest matka Pitois, niespełna rozumu. Ma tylko lat czterdzieści cztery.

Ukloniłem się trzem kobietom jak gdybym został przedstawionym księżniczkom i zwracając się do proboszcza:

— Jesteś księżę proboszczu, nieocenionym. Wszyscy tutaj jesteśmy ci niewymownie wdzięczni.

Wszyscy w istocie śmiali się, z wyjątkiem Marchas, który wydawał się wściekły.

— Proszę siostry Saint-Benoit, kolacja na stole — zawołał nagle Karol Massouligny.

W pierwszą parę przeszła do jadalni siostra z proboszczem, ja zaś podniosłem matkę Paumelle i nie bez trudu ciągnąłem ją pod ramię, gdyż jej rozdęty brzuch wydawał się cięższym jak żelazo.

Wielki Poudrel podźwignął matkę Jean-Jean, która jęcząc oglądała się za swoim szcudłem. Mały zaś Józef Herbou prowadził idyotkę do jadalni, przepelnionej zapachem mięsiwa.

Gdyśmy usiedli na swoich miejscach, siostra klasnęła trzy razy w ręce i wszystkie cztery kobiety z dokładnością żołnierzy prezentujących broń, zrobiły szybki znak krzyża. Proboszcz zaś potem, powoli wyrzekł po łacinie modlitwę: *Benedicite*.

Dwie pierwsze kury zjawily się, podawane przez Marchas, który wołał usługiwać, aniżeli być uczestnikiem tej śmiesznej biesiady.

Ja zaś zawołałem:

— Prędko szampana!

Korek wyskoczył z hukiem wystrzału i mimo sprzeciwu proboszcza i siostry, trzech huzarów siedzących koło trzech babek, siłą wlało im do ust, trzy pełne szklanki wina.

Massouliny, który miał talent wszędzie być sobą i w zgodzie ze wszystkimi, nadska-kiwał w śmieszny sposób matce Paumelle. Hydroficzka, która mimo swej choroby miała zresztą wesołe usposobienie, bałamuciała go również swoim falsetowym głosem i śmiała się tak mocno z żartów swojego sąsiada, że aż jej wielki brzuch zdawał się wyskakiwać na stół. Mały Herbou wziął sobie na seryo za zadanie upić idiotkę, a baron d'Etrelis, zawsze poważny, wypytywał matkę Jean-Jean o tryb życia, zwyczaj i regułę szpitalną.

Zakonnica przerażona wołała do Maussoligny:

— Och! Och! Przez pana rozchoruje się jeszcze; proszę pana, nie pobudzaj ją pan do śmiechu. Och! panie...

Następnie, podnosząc się usiłowała wyrwać Herbou szklankę z winem, lecz on je szybko wlewał w usta, na pół pijanej już idiotki:

— Daj pokój, ten jeden raz jej nie zaszkodzi. Daj pokój.

Po dwóch kurach przyszła na stół kaczka w otoczeniu trzech gołębi i kosa; zjawiła się także i gęś, dymiąca, przyrumieniona, roztaczając zapach ciepłego, tłustego mięsa.

Babka Paumelle rozbawiona klaskała w ręce, babka Jean-Jean przestała odpowiadać na liczne pytania barona, zaś Pitois wydawała z radości jakieś pomruki, to znów wykrzyki, podobnie jak robią to dzieci na widok pokazywanych im cukierków.

— Pozwolicie panowie — rzekł proboszcz — że się zajmę tem stworzeniem. Rozumiem się na tych operacjach, jak mało kto.

— Ależ prosimy księżę proboszczu.

Siostra Saint-Benoit odezwała się:

— A gdyby tak otworzyć nieco okno? Jest im za gorąco. Jestem pewna, że rozchorują się.

Zwróciłem się do Marchas:

— Otwórz na chwilę okno.

Gdy okno otworzył, zimne powietrze wionęło poruszając płomienie świec i rozpraszając zapach gęsiny, którą proboszcz z serwetą na szyi, umiejętnie na kawałki dzielić począł.

Zaciekawieni tą jego powabną pracą, spoglądaliśmy na jego ruchy rąk, zaprzestawszy mówić, połykając ślinę na widok tego dużego wypieczonego ptaka, z którego kawałki odpadały jeden po drugim na boki półmiska.

Nagle wśród tego łakomego milczenia wpadł przez otwarte okno odgłos dalekiego wystrzału.

Zerwałem się tak prędko, że krzesło moje w tył się potoczyło i zawołałem:

— Wszyscy na koń! Ty Marchas weźmiesz dwóch ludzi i pojedziesz dowiedzieć się co się stało. Za pięć minut masz wrócić.

Podczas gdy trzech kawalerzystów oddalało się galopem w noc ciemną, ja wskoczyłem na siodło i z moimi dwoma innymi huzarami stałem przed gankiem willi, proboszcz zaś, siostra i trzy babki wystraszeni, wyglądali przez okna.

Nie było nic słycać, jak tylko szczekanie psa z oddali. Deszcz przestał padać, zimno wzmagало się. Wkrótce dał się słyszeć znowu galop jednego konia, który powracał.

Był to Marchas. Zawołałem do niego:

— No i cóż?

Odrzekł:

— Nic się nie stało, Francois zranił jakiegoś starego wieśniaka, który odmówił odpowiedzi na wołanie: „Kto idzie?” i szedł dalej mimo zakazu. Niosą go tu zresztą, zobaczymy co to za jeden.

Poleciałem odprowadzić z powrotem konie do stajni i wysłałem dwóch moich żołnierzy naprzeciw innych, sam zaś wróciłem do pokoju.

Marchas, proboszcz i ja, znieśliśmy materac do salonu, by na nim złożyć zranionego, siostra zaś, targając na kawałki serwetę, przygotowywała szarpie. Podczas tego trzy przerażone babki skupiły się w jednym rogu salonu.

Wkrótce dał się słyszeć szcęk szabel wlokących się po drodze.

Pochwyciwszy świecę, wyszedłem oświetlić moim ludziom drogę. Zjawili się, niosąc jakąś postać bezwładną, długą, ociążałą, jakiem się staje ciało ludzkie nie podtrzymywane życiem.

Złożono rannego na przygotowanym materacu, na pierwszy rzut oka jednak spostrzegłem, że był to już umierający. Krew płynęła z kątów jego ust za każdym oddechem. Cały ten człowiek był nią już obryzany. Policzki, broda, jego włosy, jego szyja, jego ubranie, zdawały się być skąpane w czerwonej pianie. Krew ta krzepła na nim, czerniała zmieszana z błotem, straszny przedstawiała widok.

Starzec zawinięty w wielką płachtę pasterską, chwilami otwierał smutne, gasnące oczy, oczy tracące wyraz myśli i życia, pełne niezrozumiałego zdziwienia, o wyrazie zabijanego zwierzęcia, w trzech czwartych już martwe, błędne z przerażenia.

Proboszcz zawołał:

— Ach! To ojciec Placide, stary pasterz. On jest głuchy, biedak, nic nie słyszał. Ach! mój Boże! zabiliście go!

Siostra odkrywszy bluzę i koszulę patrzyła na mały, na środku piersi widniejący siny otwór, który już nawet nie krwawił.

— Niema tu już nic do roboty — rzekła.

Pastuch, dysząc okropnie, wypływał za każdym oddechem gęstą krwawą pianę, z gardła zaś wydobywało się ustawiczne, przykre charczenie.

Proboszcz stanąwszy nad nim, prawą ręką zrobił znak krzyża i głosem powolnym a uroczystym wypowiedział po łacinie słowa rozgrzeszenia.

Zanim je skończył, starcem wstrząsnął krótki skurcz, jak gdyby w nim coś się zerwało. Przestał oddychać. Nie żył.

Odwróciwszy się, zobaczyłem widok jeszcze bardziej przerażający jak agonია tego nieszczęśliwego: trzy staruszki stały przyciśnięte jedna do drugiej, twarze zaś ich wykrzywił wstrętny kurcz obawy i przerażenia.

Zbliżyłem się do nich, lecz one poczęły przeraźliwie krzyczeć i uciekać, jak gdybym i je chciał zabić.

Babka Jean-Jean, nie mogąc utrzymać się na spalonej nodze upadła jak długa na ziemię, siostra Saint-Benoit, opuściwszy umarłego pobiegła do swoich kalek i bez jednego słowa i spojrzenia dla mnie, okryła je, ich szalami, podała im ich laski, wypchnęła je przez drzwi, wyszła i zniknęła z nimi wśród głębokiej i ciemnej nocy.

Zrozumiałem, że niemożliwym było kazać je odprowadzić przez którego z huzarów, sam bowiem szcęk szabli wprowadził je w obłąd.

Proboszcz spoglądał smutnie na umarłego.

Zwróciwszy się wreszcie do mnie, rzekł:

— Ach! — Cóż to za fatalna rzecz się stała!



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/maupassant-wieczor-trzech-kroli>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum. anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okladka na podstawie: IMG\_4851, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0530-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.